



„Człowiek, który nie wieży w Boga, utrudnia sobie życie,” – myślałam sobie. Ludzie specjalnie odpychają od siebie Boga, gdyż dążą do jakiejś oryginalności, niepowtarzalności oraz samodzielności. Na mnie to jakoś nie działało. Było mi ich jakoś nawet żal. Żal tych, którzy mówili „jestem ochrzczony, lecz chrześcijaństwo mnie ogranicza, dlatego zachwyca mnie buddyzm. Mam prawo sam wybierać, w co wierzę”. No cóż... Cieszę się, natomiast, gdy widzę w kościele klęczącego przed Bogiem, całkowicie oddanego modlitwie silnego mężczyznę. Zachwyca mnie, że człowiek będący wielokrotnie silniejszym od innych, który mógłby z całą pewnością powiedzieć: „Sam wszystko potrafię”, pokornie stoi przed Panem. W tym widzę Bożą moc. I Bożą miłość. Przecież otrzymujemy zgodnie z pragnieniami serc naszych: „Proście a będzie wam dane” (Mt 7,7). I gdy mężczyzna jak dąb przychodzi do Ojca, to czy będzie świadom Jego mocy? On przytuli go jak syna i pocieszy... Na tym polega ogromne Boże miłosierdzie.

Teraz to pojmuję, wcześniej tak nie było. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę z tego, iż nie posiadam tej radości, którą powinien posiadać człowiek, całkowicie ufający Panu. Znalazłam też tego przyczynę. Doskonale pamiętam tamten wieczór. Był to niewielki kościół w górach. Adoracja w ciszy. Słońce dawno już zaszło, za oknami była jakoś bardzo ciemno. W kościele paliły się tylko dwie świece oraz Najświętszy Sakrament. I całkowita ciemność. Ludzi, którzy modlili się obok, jakby nie było. Tylko ty i Pan Jezus. † Wtedy nie mogłam powstrzymać łez. Było to bardzo mocne oczyszczenie, moment, gdy otwierają się drzwi twojej duszy, i być może po raz pierwszy widzisz to, czego dotychczas się o sobie nie wiedziało. Najbardziej skryte. To, co się przede mną otworzyło, wywołało we mnie strach: zrozumiałam, że nie wierzę w Boże miłosierdzie...

Całe swe życie wierzyłam: w Trójcę Świętą, w zmartwychwstanie, w przebaczenie grzechów, w życie wieczne duszy... ale nie w miłosierdzie Pana.

To odkrycie było straszne. Strasznym było przyznać się samej sobie do tego, gdy codziennie o godz. 15. 00 Kościół modli się Koronką do Miłosierdzia Bożego, gdy się słyszy o tysiącach cudownych uzdrowień, gdy się widzi prawdziwych chrześcijan, przepełnionych miłością i radością...

Wtedy byłam pewna – zresztą teraz też – że człowiek powinien się cieszyć tym, co ma, że należy dziękować Bogu nawet za drobiazg. Ale potem przelatywał mnie strach. Wszystko mam do szczęścia potrzebne: rodzinę, prawdziwych przyjaciół, kościół, ulubione zajęcia, a ja przecież nie zawsze czuję się szczęśliwa! To znaczy, że Bóg obowiązkowo mnie ukarze: obetnie mi nogę bądź rękę, bym zobaczyła, że miałam wszystko, co do szczęścia potrzebne, wtedy zacznę Boga wychwalać.

Proszę sobie wyobrazić, na ile surowym wyobrażałam sobie Pana. Od razu przypominałam mnóstwo przypadków, że ci, którzy nade wszystko kochali Boga, zmarli śmiercią męczeńską. Tamtego wieczora miałam rozmowę, która pomogła znaleźć odpowiedzi na wszystkie moje pytania.

Nie każda nasza myśl pochodzi od nas samych. Są takie, które posyła nam zły duch. Może długo wlewać jakąś złą myśl w świadomość człowieka, że tamta zaczyna się wydawać własną. Dlatego modląc się modlitwą „Ojcze nasz” prosimy: „... ale nas zbaw od złego”. Nie od jakiegoś abstrakcyjnego „złego”, lecz od konkretnej osoby.

Człowiek, poważnie traktujący swą wiarę, zawsze posiada jakieś wątpliwości, to jest rzeczą normalną. Człowiek analizuje, pragnie zrozumieć, szuka głębi wiary. Nawet św. Teresa w pewnych momentach swego życia miała wątpliwości. Pisała: „Jeśli Bóg istnieje, proszę, wybacz mi”. Wątpiła, ale wykonywała Jego wolę! Można wierzyć, że Bóg jest miłosierny, ale można wątpić. Gdy nawet przez ułamek sekundy to sobie wyobrazić, że to nie tak, to czyż nie lepiej i tak wierzyć?

Proszę sobie wyobrazić dobrego, mądrego ojca, miłującego swe dzieci całym sercem. Jedno dziecko nie radzi sobie z pracą domową. Czyż po to, by to dziecko na zawsze coś zrozumiało, obetnie mu rękę? Przecież to absurd! Tak jak i mój strach przed surowym Ojcem. Jak On miałby to zrobić, jeśli on jest Tatą? Nie tylko Ojcem, lecz Tym, który oddał swego Jednorodzonego Syna na straszną śmierć niesprawiedliwej, oschłej, ślepej ludzkości. I to po to, byśmy mogli powiedzieć do Niego „Tato”...

Każdego obdarzył talentami i swą miłością. Dał nam możliwość przychodzić do Niego i Go poznawać. Wybaczył nam nawet męczeństwo Chrystusowe... Gdyby nie wybaczył, to czy pozostawiłby nam szansę na wyznawanie Jego Imienia? Czy pozostawiłby kamień na kamieniu?

Nie tylko wykonał swą obietnicę, którą dał Noemu, dał również szansę na szczęśliwą wieczność. Wieczność przy sobie. Tam, gdzie nikt nikogo nie skrzywdzi. W objęciach miłosiernego Ojca.

Ps. Z „Dzienniczka” świętej s. Faustyny. Słowa Jezusa Chrystusa: „I szatani wychwalają sprawiedliwość Moją, ale nie wierzą w Moją dobroć. Moje serce raduje się mianu miłosierności. Powiedz, że Miłosierdzie jest największą wartością Boga. Wszystkie dzieła rąk Moich są uwieńczone miłosierdziem”.